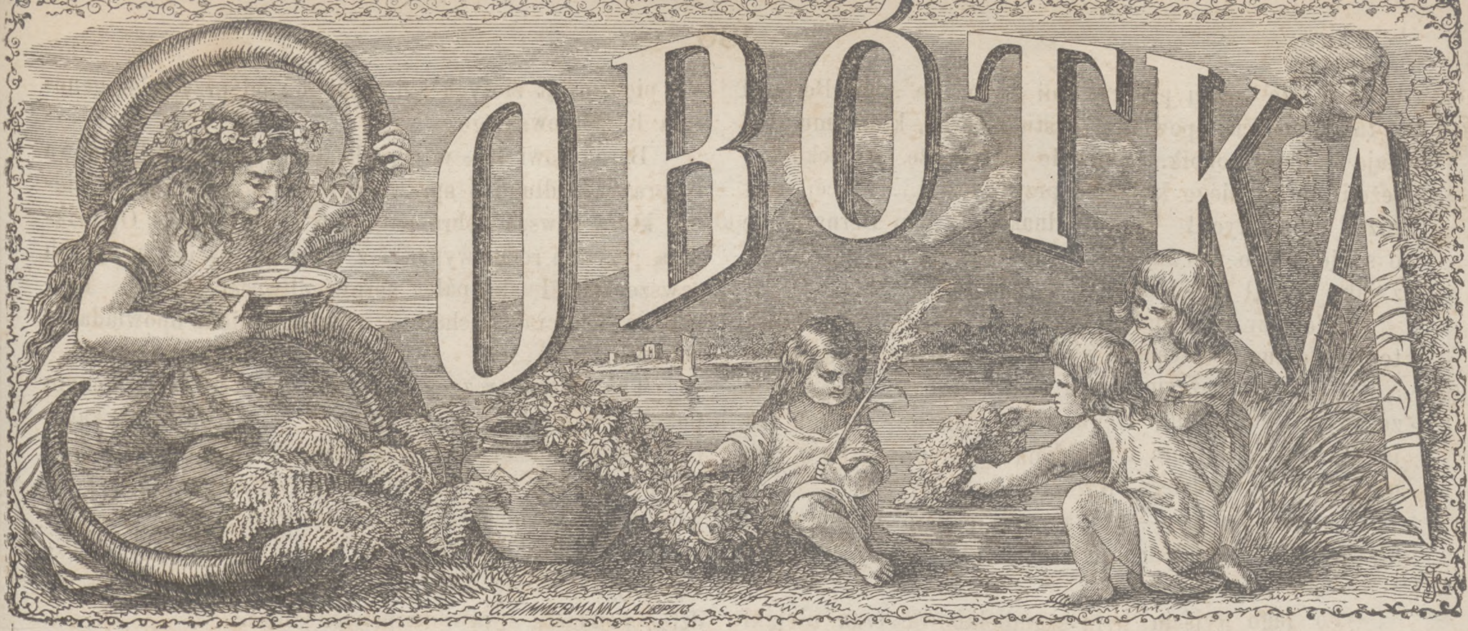


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 17. Poznań, dnia 23 kwietnia 1870. Rok II.

Milion na poddaszu,

Obrazek z niedawnéj przeszłości

przez

Jana Zacharjasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

Szambelanowa pomyślała chwilkę. Spojrzała na Bernarda, który był tak wesoł, jakby do dobrego uczynku się gotował, spojrzała na Terenię, która kreśląc bezmyślne kreski po papierze, mocno się zamyśliła.

— Czy niedowiedziałeś się aspan o nazwisku tego szczególnego amatora naszego poddasza? zapytała po chwili.

— Cukiernik mi mówił, że to ma być pan podczaszyc... odpowiedział Bernard spokojnie.

— Pan podczaszyc? powtórzyła szambelanowa i rozśmiała się, jakby nagle wszystko odgadła — pan podczaszyc! Znałam dobrze jego ojca! Widać syn nie wyrodził się! Artysta!... Ojciec także lubił incognito pokoiki na poddaszach najmować! Było to w modzie bardzo w modzie wtedy... sielanki i poezya! Świat wielki często przesycał się, a wtedy na poddaszu jest świeższe... powietrze! O znam, znam ja te... kaprysiki ludzi bogatych!

— Cóż biednym do kaprysów tych ludzi, jeżeli oni za to płacą! Przecież grzechem nie jest, nająć komuś pokoik za sto złotych, jeźli jemu tak się podobało, Nikt się przecież z nim nie targował! mówił Bernard.

— Masz aspan słuszność, odparła po niejakim namyśle szambelanowa, jeżeli bogaci pieniądze wyrzucają, dla czegóż by biedni nie brali w sposób godziwy?... Waćpan możesz podczaszycowi odstąpić ten pokoik! a sam tymczasem gdzie w pobliżu najmiesz sobie za kilkanaście złotych. Zawsze zyskasz na tém. Codziennie i tak przyjdziesz do nas!

— Uchowaj Boże, zawołał z indygnacyą Bernard, ja przecież dla siebie z tego pokoiku nie chcę żadnego zysku. Pokoik należy do pani szambelanowéj, więc sądziłem, że i te sto złotych...

— A! poczciwym aspan jesteś, panie Bernardzie! Toś aspan do mnie z tą wesołą nowiną spieszył? Sądzisz że dla mnie biednéj sto złotych wiele znaczy!... Dla tych stu złotych ponosisz nawet, jak mówisz, ofiarę, że się z naszego sąsiedztwa chcesz wyprowadzić!... O poczciwy człowieku! Pójdźże, niech cię w głowę pocałuję!

Wzruszony Bernard i w duszy, zadowolony że ofiarą ze swojéj strony przysporzy biednéj rodzinie tak znaczną sumkę, zbliżył się do staruszki, która go przeżegnała i na jego czole macierzyński pocałunek wycisnęła.

— Tereniu, mówiła daléj szambelanowa, a ty nie podziękujesz panu Bernardowi za tak szlachetną rezygnacyę z własnéj przyjemności, aby nam dobrze uczynić? To się rzadko, bardzo rzadko trafia w świecie!

Terenia była w téj chwili mocno roztargniona. Nie mogła tak prędko pozbierać myśli swoich. A te myśli były dziwne, bardzo dziwne... Przyzwyczajonéj do spokojnego przebiegu życia, wydało się dzisiejsze zdarzenie czémś nadzwyczajném, czego jeszcze dobrze objąć nie mogła. Słowa szambelanowéj przywiodły ją trochę do przytomności.

— Przyznam się babuni, mówiła ze spuszczonemi

oczyma, że zrazu przykro mi było, że pan Bernard z taką radością opowiadał o stu złotych, które mu ktoś daje za jego pokoik. Zdawało mi się, że ten pokoik... jeżeli się do niego ktoś już przyzwyczaił... więcéj wart niżeli sto złotych! Teraz jednak, gdy pan Bernard nie o sobie, ale o nas myślał, to mu już daruję tę radość, z jaką stanął przed nami z tą nowiną!

Rzekłszy to podała Bernardowi małą rączkę, którą tenże według ówczesnego zwyczaju stokrotnie ucałował.

— Więc każ się aspan podczaszycowi sprowadzić ze swemi stalugami, rzekła szambelanowa, ale rób tak jakbyś ty sam jemu ten pokoik odstępował. Ja o tém nic nie chcę wiedzieć! Rozumiesz aspan?

— Rozumiem — sto złotych oddam potém pani szambelanowéj, odparł na to uszczęśliwiony Bernard i wyszedł.

Po jego wyjściu była szambelanowa czas niejaki zamyślona. Uśmiechała się do swoich myśli.

Pan Bernard jest zacnym człowiekiem, rzekła do również zamyślonéj Tereni, ręczę ci, że go to wiele kosztuje, że od nas musi się wyprowadzić. Gdyby był bogaty, to dałby sam sto złotych za ten pokoik... Ale jak wielkie jest przywiązanie jego do nas, jeźli taką ofiarę czyni!... Czy ty pojmujesz to Tereniu?

Terenia na to nic nie odpowiedziała, tylko rzuciła się z jakimś dziwnym niepokojem na szyję babuni i zaczęła ją ściskać i całować... Twarzy jednak nie okazała!

XXIX.

Za kilka dni wyprowadzał się Bernard z poddasza, które dla niego całym światem się stało. Wyprowadzał się nie bez wielkiéj boleści, że o kilkadziesiąt kroków będzie teraz oddalony od téj, którą nad życie ukochał. Jedyną pociechą dla niego było, że ofiarą swoją wypełnił tak dobroczynny uczynek, który biednym na poddaszu przysporzy nie małego zasiłku.

Jedna rzecz tylko martwiła go sromotnie. Obrazy Tereni, sekretnie przez niego kupione spoczywały w tym pokoiku bardzo wygodnie w głębokiéj szufladzie stołu, starannie papierem wyłożonéj. Na ten skarb w ubogiéj swojéj izdebce, którą teraz najął, nie miał ani miejsca, ani schowku. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko rozstać się na czas niejaki z tym skarbem. Wolał się zrzec przyjemności częstego oglądania, niżeli miał go narażać na poniewierkę i pył uliczny. W tym celu zastrzegł sobie u nowego lokatora, że szuflada w tym stole, gdzie ma niektóre swoje rupiecia, pozostanie zamknięta, a kluczyk od niéj będzie w jego rękach.

Nowy lokator chętnie zgodził się na tak drobny warunek, i zajął odstąpiony pokoik.

Na drugi dzień przyniósł Bernard szambelanowéj sto złotych. Szambelanowa schowała pieniądze i rzekła:

— Niech ci Bóg wynagrodzi twoje poczciwe serce, mości Bernardzie!

Jakoż nie długo czekał Bernard na tą nagrodę. Na trzeci dzień wszedł znowu listowy na poddasze właśnie w téj godzinie, gdy Bernard był u szambelanowéj i oddał mu list z pieniędzmi. W liście było jak zazwyczaj sto piędziesiąt złotych z dopiskiem: od przyjaciół generała Kwaśniewskiego.

Bernardowi łzy w oczach stanęły, a szambelanowa rozprawiała długo o sprawiedliwości boskiéj już na ziemi, która zawsze dobre nagradza a złe karze. Opowiadała przytém różne wypadki z własnego życia, w których zawsze okazał się palec sprawiedliwości boskiéj. Bernard i Terenia słuchali z namaszczeniem opowiadania babuni.

Tymczasem rozgospodarował się w odstąpionym pokoiku nowy lokator. Ponieważ właściwe mieszkanie miał gdzie indziéj, a tu tylko kilka godzin dziennie miał przepędzić dla zdjęcia widoku z Leszna, ograniczył się więc tylko na niezbędnych akcesoryach życia. Aby jednak i te drobne akcesorya, już o jego pozycyi towarzyskiéj świadczyć mogły, postarał się o to, aby na ludzi z poddasza sprawiały pewien efekt.

Najprzód ustawił elegancką stalugę wykładaną drzewem hebanowém. Potém palisandrowe pudełko z farbami. Do umywania rąk po pracy stała na stoliku srebrna miednica, wewnątrz złocona. Do niéj należał srebrny kubek bogato złocony, nader misternéj roboty. Wykwintna toaletka z różnemi przyborami, zajęła miejsce pod oknem.

Anusia, która pierwsza była przypuszczona do oglądania tego tajemniczego pokoiku, opowiadała dziwy o tych prześlicznych rzeczach szambelanowéj i Tereni. Widziała tam także drogi perski dywan, który nakrywał skromną dreliszkową sofkę.

Gdy nowy lokator już się zupełnie urządził i kilka dachów z kominami na płótnie narysował, ubrał się nader wykwintnie i przyszedł z pierwszą wizytą do swoich sąsiadek.

Szambelanowa miała twarz poważną i czytała w jakiéjś grubéj księdze. Terenia przy niéj bawiła się robotką kobiecą.

— Bardzo jestem wdzięczny przypadkowi, ozwał się nowy lokator, który mnie natchnął zachcianką artystyczną a przytém dał mi poznać wielce szanowną matronę naszą, panią szambelanowę!

— A kto waćpan jesteś! zawołała od książki szambelanowa, czy jesteś artystą?

— Właściwie... amatorem tylko! Jestem podczaszyc*** —

— A! podczaszyc!... ojca znałam!... Był także amatorem różnych sztuk pięknych!... Widać że ten talent jest dziedziczny!

Podczaszyc mimo wszelkiéj swobody jaką miał w obejściu się z ludźmi, zarumienił się trochę. Była to rola, która mogłaby go skompromitować, gdyby się nieudała. Spojrzał na Terenię i spotkał się z jéj ciekawie patrzącemi oczkami.

Zdaje się, że nie tylko ciekawość, ale pewien niepokój spostrzegł w oczach Tereni. To dodało mu odwagi.

Podczaszyc był człowiekiem, jakto mówią, niebezpiecznym dla kobiet. Można powiedzieć, że był nadzwyczaj przystojny. Twarz miał smagławą z pewnym namiętnym wyrazem. Oko ciemno-niebieskie duże, do połowy ciemną rzęsą przykryte, wyglądało, jakby rozmarzone, za ideałem stęsknione. Włos bujny, ciemny,

podnosił się od skroni po nad wypukłe czoło w duży czub, lekko na prawą stronę pochylony. Dodajmy do tego ubiór świeży, wykwintny, ruchy piękne i swobodne i umysł encyklopedycznie wykształcony, a będziemy mieli wzór młodego człowieka, o jakim marzą panny i nieszczęśliwe kobiety. Największą zaś jego bronią, którą zawsze zwyciężał, była śmiałość i pewność siebie.

Do téj powierzchowności stósowne miał wykształcenie, to jest takie, które błyszczy i olśniewa. Mówił kilkoma językami, grał na cytrze i klawikorcie, śpiewał hiszpańskie piosnki, składał nawet nie złe szarady i umiał kilka godzin mówić o wszystkiém. Rysował nie źle, malował trochę a mianowicie umiał wybornie z kawałków materyi wykrawywać różne ubiory, przylepiać je na karton i domalowywać twarz i ręce. Była to ulubiona zabawka ówczesnych salonów, a bardzo wiele robót takich widzimy dziś jeszcze po zbiorach familijnych.

Przy takiém uposażeniu wcale się dziwić nie można, że podczaszyc był w pewnych kółkach swego świata tak zwanych Lowelasem. Osobliwie mężatki, niezrozumiane od mężów, przepadały za nim. Był on bohaterem buduarów na Krakowskiém Przedmieściu i Nowym Świecie, a na jego stoliczku leżały zawsze stosy kopert z tajemniczych listów. Tylko excentryczne dewizki na pieczątkach mogły czasem naprowadzić na ślad rączek, które te liściki pisały, z czém się on nawet bardzo nie tail...

Zepsuty takiém powodzeniem był tego przekonania, że dla niego niema nic niepodobnego. Znał wszelkie słabości serca kobiecego i umiał grać na niém, jak na klawikorcie. Jednéj mu rzeczy tylko do zupełnego szczęścia brakowało — znaczniejszéj fortuny. Miał wprawdzie jakąś fortunkę nie wielką, miał także bogatego stryja, który od czasu do czasu coś do Warszawy przysłał, ale wszystko to było tylko obliczone na życie od dzisiaj do jutra. Tymczasem lata biegły, a sukcesa buduarowe nie dawały fortuny.

Myśl o bogatém ożenieniu się trapiła często podczaszyca, ale tutaj stawały zawsze jakieś zawady na drodze. Albo panna nie miała znaczniejszego posagu, albo przeszkodziła temu jaka intryga buduarowa.

Milion na poddaszu zwracał często jego marzenia ku sobie. Mówiono coś o tym milionie po mieście, mówiono, że nawet panna jest ładna, do tego dziwnie romantyczna sytuacya — poddasze i stara dziwaczka — miała w sobie wiele ponęty. Nic bowiem łatwiejszego, jak taką sielankową bohaterkę oczarować, olśnić i zbałamucić.

Budując więc na swoją szczęśliwą gwiazdę, i dowiedziawszy się na owym wieczorze, że na poddaszu rzeczywiście jest milion, skorzystał z wyjechania podkomorzyca za granicę, gdzie go pułkownikowa prawdopodobnie dłuższy czas przytrzymać będzie umiała i ułożył sobie planik romantyczny, jaki właśnie teraz rozwijać zaczął.

Z pierwszą wizytą u pani szambelanowéj był bardzo krótko. Było w tém wyrachowanie, aby tylko na chwilę, swoją osobą olśnić kobiety, rzucić im kilka ogników bengalskich i zniknąć!... W ciemności, która następuje zawsze po spaleniu meteoru, mogły wtedy śnić i marzyć o nim i w wyobraźni uzupełniać sobie to, czego im w rzeczywistości brakło. A wyobraźnia jest w takim razie nadzwyczaj sprzyjającą tym, któremi się zajmuje...

Po kilku minutach rozmowy z szambelanową i Terenią wstał i pożegnał się. Szambelanowa miała dziwny uśmiech na twarzy, gdy mu mówiła przy pożegnaniu: Niech aspan czasem do nas zagości.

Podczaszyc nie widział tego uśmiechu, bo patrzał w téj chwili na Terenię. Wyszedł nader zadowolony.

Po jego odejściu długie milczenie panowało w pokoju. Szambelanowa uśmiechała się do swoich myśli i z boku patrzała na Terenię. Terenia czuła to oko babuni na swojéj twarzy i dla tego w kłopocie była nie małym.

Dla czego Terenia w kłopocie była, trudno odgadnąć. Nie chcemy biednéj dziewczyny posądzać bez powodu. Tyle tylko powiemy, że długi czas nie wiedziała, czém się zatrudnić, brała to książkę, to ołówek, a gdy Bernard wieczorem przyszedł, pospieszyła do niego aż do progu, czego dawniéj nie bywało, i tak go gorąco za rękę ścisnęła, jakby jéj kto chciał wydrzeć tę rękę... Bernard sam zadziwił się takiém przywitaniem, ale wkrótce wytłomaczył je sobie. Miało to być podziękowanie za jego bolesną ofiarę, która babuni sto złotych przyniosła...

I jakoś cieplej i serdeczniéj przeszedł ten wieczór na poddaszu. Terenia była tak serdeczna dla Bernarda, tak długo wpatrywała się w niego, gdy mówił, z taką uwagą słuchała rozumnych słów jego, że Bernard czuł się stokrotnie wynagrodzony za ofiarę, którą poniósł dla biednych.

— Mój Boże! pomyślał sobie, jakto roskosznie jest zrobić dobry uczynek! I Bóg wynagradza i ludzie wynagradzają... czemuż to tak mało jest tych dobrych uczynków między ludźmi?...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Sąsiadki mojéj firanka.

(Z Alfreda de Musset.)

Sąsiadki mojéj firanka,
Zwolna się w górę unosi.
To Ona! To ma bohdanka,
Świeżego oddechu prosi.

Nieco się okno otwiera;
Serce mi goreć zaczyna...
Z ukosa na mnie spoziera...
Oj figlarz!... figlarz dziewczyna.

O Boże! zamiera dusza;
Dziewczyna już ma kochanka.
Ach!... to się wiatrem porusza
Sąsiadki mojéj firanka.

? —

Brezylia.

(Z ryciną.)

Brezylia jest najrościąglejszém państwem Ameryki, rozciąga się bowiem od równika aż do 27° szerokości południowéj.

Kraj ten był odkryty w roku 1500 przez admirała portugalskiego Kabral, który płynąc do Indyi Wschodnich, zwrócił się ku Zachodowi i natrafił przypadkiem na ląd Brezylii. Dwór lizboński nie znając z razu bogactw Brezylii, początkowo wysyłał tam tylko zbrodniarzy, z których potworzyły się wkrótce lepiéj urządzone osady. Wiele z owych kolonii pozostawionych bez obrony, Holendrzy opanowali, ale po pewnym przeciągu czasu odbite zostały przez Portugalczyków. Kraj ten był rządzony przez junty prowincyonalne, podlegające władzy gubernatora wysłanego z Portugalii. W r. 1821 owe junty powstały przeciw metropolii; Don Pedro, syn starszy króla Jana VI, został ogłoszony cesarzem, lecz zmuszony złożyć koronę w r. 1831, przekazał ją na rzecz Pedra II swojego syna, wówczas mającego rok jeden.

Po większéj części tylko pobrzeża Brezylii są ucywilizowane. Okolice wewnętrzne są zamieszkane dotąd przez ludy żyjące prawie w zupełnéj niezależności.

Brezylia porosła lasami, przerznięta rzekami i długiemi pasmami gór, ma grunt sposobny do wszelkiéj uprawy; klimat jak na kraj przyległy równikowi, jest zdrowy i umiarkowany, płody jakie wydaje, czynią ją najzamożniejszem państwem w Nowym Świecie; wywożą ztąd do Europy cukier, tytoń, skóry, bawełnę, indygo, ipekakuanę, imbier, pieprz turecki, a nadewszystko drzewa farbierskie, znane pod nazwiskiem drzewa brazylijskiego. Wszelkie zboże udaje się. Brezylia nie tylko obfituje w płody roślinne, lecz także w bydło, lasy zaś jéj zapełnione są najróżnorodniejszego gatunku zwierzyną.

Widok podzwrotnikowych lasów dziewiczych wzbudza podziw podróżnych; ciągną się one w płaszczyznie północnéj od ujścia rzeki Amazonki aż do przylądków Andyjskich. Są tam nie rzadko miejsca, w których noga ludzka nigdy nie postała, tak gęsto poplątane, że tylko z siekierą w ręku utorować można sobie drogę. Ludność wogóle dzieli się na białą i czarną. Biali Brezylianie z małemi wyjątkami pochodzą od wychodźców portugalskich; i u tych nawet oświata nie jest wielka, jakoż w całém ogromnem cesarstwie, przed kilkoma jeszcze laty, było 600 tylko szkół dla ludu. Wyższe klasy celują wprawdzie pewnym polorem i nauką, obyczeje ich jednak są dosyć rozwiązłe, a jeżeli nie ma fanatyzmu i nietolerancyi, tem powszechniejszą jest niewiara i nawet pogarda religii. Zwyczaj wychowywania synów zamożniejszych rodzin we Francyi, wpłynął szkodliwie na rozwój kraju, bo zaludnił go młodzieżą, która w braku stałego zajęcia, rzuciła się na lekkie autorstwo, a następnie w stósunkach politycznych i społecznych wielkie sprawiła zamięszanie.

Jak już powiedzieliśmy wyżéj, ludność Brezylii dzieli się na rasy. Do zrównoważenia takich różnic wpływowych, rząd brezylijski rzadko kiedy przykładał ręki. Istnieje tu wprawdzie wolność prasy, ale brak ludzi z charakterem, którzyby jéj na dobre użyć mogli, pozbawia ją wpływu.

Piśmiennictwo narodowe, rozpoczęte wraz z deklaracyą niezawisłości krajowéj, naśladuje raczéj wzory francuzkie, niż portugalskie. Zakłady naukowe koncentrują się w Rio de Janeiro: tu jest uniwersytet, szkoła medyczna, inżynierska i artyleryi, szkoła handlowa, obserwatorym astronomiczne i t. d. Największe zajęcie budzą tu nauki przyrodzone, co w kraju tak uroczéj natury łatwo się daje wytłomaczyć. Duchowieństwo wogóle mało jest wykształcone. Religią panującą jest katolicka; wszakże i protestantyzm licznie się rozszerzył. Rólnictwo i handel podniosły się w Brezylii dopiero od czasu wielkich zmian politycznych, ktore oswobodziły kraj z pod dawniejszego ucisku. Zaledwie jednak dwuchsetna część ziemi jest tu uprawną, a na najludniejszéj stronie kraju nie więcéj, jak jedna piąta. Handel dość znaczny; sprzyja mu wielka ilość bezpiecznych portów na wybrzeżach wschodnich. Znajduje się on po większéj części w rękach Portugalczyków, Anglików, Francuzów, Amerykanów Północnych, Holendrów i Niemców; sami Brezylijczycy trudnią się bardziéj drobnem przekupstwem. Głównemi artykułami przywozu są: wódka, oliwa, sztokfisz, szpagat, obuwie, węgiel kamienny, piwo angielskie, herbata, kapelusze, skóry garbowane, mąka pszenna, wyroby z bawełny, wełny, lnu i jedwabiu, żelazne i gliniane, masło, meble, papier, proch, szynki, sery i wino. Wywóz najwięcéj obejmuje kawę, cukier, skóry surowe, tytoń, bawełnę, drzewa farbierskie i stolarskie, wanillę, kakao, chinę i maniok. Wywóz złota i diamentów, nie licząc w to ogromnych defraudacyi przynosi rocznie 70 milionów franków. Przemysł wystarcza zaledwie na najpierwsze potrzeby życia; rzemiosła i to w miastach tylko, są wyłącznie w rękach cudzoziemców. Pomimo mizernych dawniéj rządów kolonialnych, Brezylia jest krajem bardzo bogatym i byle tylko siły moralne kraju podniesione zostały, mogłaby być jednym z głównych źródeł bogactw świata. Co do sposobu wychowania, co do handlu i przemysłu, Brezylia ma pewną analogię z Polską. Jak tam tak i tu wielka ilość młodzieży kształci się po za granicami kraju, gdzie nabiera wyobrażeń nie odpowiednich warunkom w których żyje, a ztąd rodzą się skutki podobne skutkom w Brezylii. Jak tam tak i tu płody krajowe z powodu nieumiejętności spożytkowania, wywożone są za granicę, gdzie przerobione, po pewnym przeciągu czasu znowu do nas wracają.

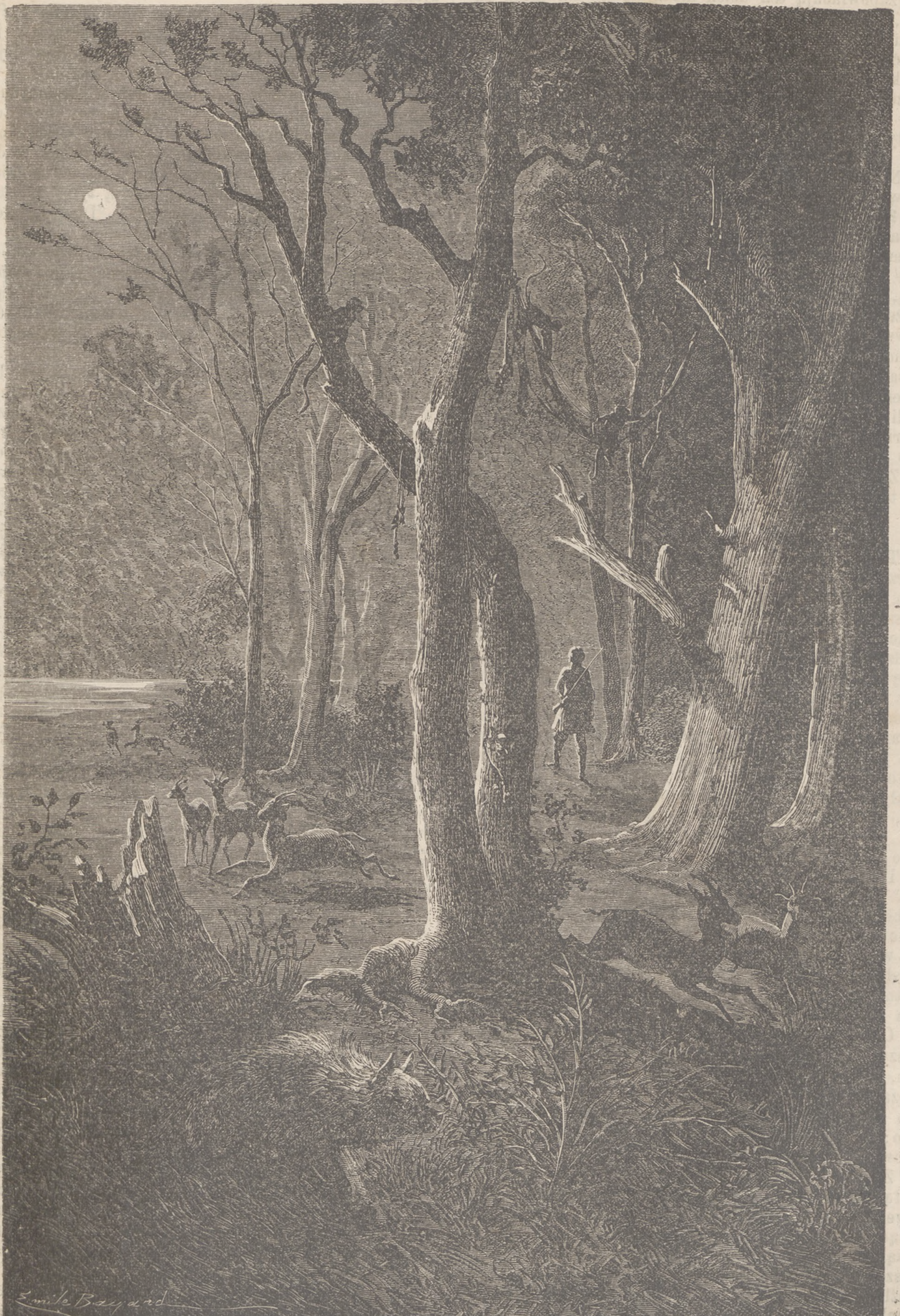
Bal pod względem hygienicznym.*)

Hygiena jest przyjaciółką zabaw. Kobiety lubią się bawić, wypływa to z ich usposobienia, ze stosunków wewnętrznych i zewnętrznych życia towarzyskiego, wywypływa nakoniec z potrzeby zdrowia. To jest najważniejsze.

Bal, czyli zabawa tańcująca na wielką skalę, jest polem po pisu wdzięków, gustu, zdrowia, młodości i dziarskości. Dawni poczciwi kontuszowcy, kiedy się bawili, to nie mówili że na bal idą lub jadą, ale n a o c h o t ę, to jest ubawić się aż po uszy; ztąd téż urosły kuligi, owe staropolskie bale.

Z postępem czasu, ze zmianą mody i kart geograficznych, bale przyjęły się w naszym narodzie, jak wiele innych rzeczy mniéj lub więcéj potrzebnych. Kto żyje, wie co to jest bal; najskromniejsza dziewica polska,

*) Wyjątek z niewydanego rękopismu dr. Gregorowicza i w części tylko drukowanego w T. I. (Przyp. redak.)



Lasy Brezylii.

w pączku rozwoju swojego, nasłucha się od dzieciństwa o balach. Dorosła już marzy o balu, a kiedy jéj rodzice zapowiadają ten dzień uroczysty na dni kilka naprzód, na jawie i we śnie nie myśli jak tylko o balu. Uroku tego nie można niczém odczarować; bo bal piękniejszy i czarowniejszy jest zdaleka jak zbliska! Ludzie wszelkiego wieku i stanu zgromadzają się na tę ochotę, a każdy prawie kto wstępuje na salę, najpiękniéj oświetloną i przybraną, wchodzi tam dla zabawy. Otóż w liczbie tych osób znajdują się niekiedy ludzie najmniéj może spostrzegani, są to przyjaciele zdrowia.

Nieznośna ich nauka, we wszystkiém złe upatruje. Zabawa tańcująca, proszę? czyż może mieć w sobie co złego? Panie łaskawe, raczcie posłuchać głosu hygieny: ani taniec, ani zabawa, nic w sobie złego nie mają, owszem, są potrzebne i koniecznie ale, — otóż to nieszczęśliwe ale, trzeba żebyście raczyły pogodzić zdrowie z zabawą, a zabawę z życiem, żebyście chciały zastanowić się, że zawsze otacza nas złe i dobre, że umiarkowanie we wszystkiém jest najszlachetniejszą cnotą. Ani na biletach, ani w zaprosinach nie wydrukowano i nie napisano: Zima, proszę przybyć w ubraniu ciepłém, wygodnem; nie wolno wiele tańczyć, pić zimnéj wody w chwili zmęczenia, jeść lodów, takich lub owych używać pokarmów i t. d. Zwyczajnie piszą: „Bal rozpoczyna się o godzinie 8méj" lub późniéj, i na tém koniec.

Zastanówmy się więc nad dobrą i złą stroną, zabaw tańcujących.

I.

Taniec trzyma środek między biegiem i skokiem, przyczynia się do rozwoju układu mięsistego i kościstego, udoskonala zręczność ruchów, a skazanym na ciągłe siedzenie, taniec oddaje wielką przysługę, równoważąc nieczynność połowy ciała, przez ruch przyspieszony i nadzwyczajny. Tańcujący zmienić muszą zwykłą postawę ciała: głowę trzyma się prosto, barki opuszczone, przez co klatka piersiowa staje się szerszą, sposobniejszą do pełnego oddechu; muszkuły nóg niemal ciągle w stanie wyprężenia lub zgięcia; w podskokach połowa ciała jest w powietrzu, przez co stawy z szybkością wyprostowują się; każdy ruch wywołuje wstrząśnienie w całym organizmie, ztąd wynika przyspieszenie biegu krwi, oddechu, cieplik ciała powiększa się i występuje pot. W tym stanie tańcujący doznaje najprzyjemniejszego uczucia.

Dla młodzieży płci obojéj, taniec jest polem popisu, gdzie dusze ich ocknięte napawają się przeczuciowo błogiém jakiémś marzeniem, a skłonności rozbudzone mimowolnie wprowadzają ich w świat towarzyski. Miłość własna, chęć przypodobania się, współzawodnictwo umysłowe, jakby czarem występują na scenę życia, i pod ich to wpływem każdy ruch tancerki lub tancerza porywa oczy i zachwyca duszę.

Opis złéj strony zabaw tańcujących będzie obszerniejszy, a to z następujących powodów: że nie o jedném złém, ale o wielu mówić wypada; że nauka hygieny, użyczając nam swego światła, wprowadza nas w mnóstwo szczegółów, dających poznać naturę i przyczynę złego; że nakoniec dla ustrzeżenia się złych następstw stosowne rady podać nam należy.

Zabawy tańcujące przedstawiają zwykle masę ludzi objętą jedną, lub kilkoma salami, przez co ciepło miejscowe znacznie jest podniesione, to wyziewami oddychających osób, to skutkiem rzęsistego oświetlenia stearyną, olejem lub gazem. Atmosfera taka o wiele jest cięższą od zwyczajnego powietrza, a na galeryach sal, zaraźliwszą jak na dole. Otaczające przyźby, krużganki i ganki różnią się wielce temperaturą od salonu, z czego częstokroć powstają przeciągi powietrza.

Znamienity publicysta powiedział: „W piękności uosobiła się myśl Boga." Szkoda że ta myśl, prawdziwa i poetyczna, nie poczęła się w główce żeńskiéj, i że jéj nie wymówiły usta kobiety, dla któréj piękność jest najpierwszym i najwięcéj zajmującym rozdziałem całego życia.

Wszystkie kobiety są piękne albo pragną być pięknemi. Zwierciadło jest dla kobiety wyrocznią, a jeżeli ta najprawdziwsza fotografia nie zadowalnia jéj, to wsparta na paluszkach miłości własnéj, znajduje w składzie wdzięków swoich, w gracyi lub wielu innych wynalezionych przez siebie powabach, pewny urok co ją koniecznie (w jéj przeświadczeniu) stawia wyżéj lub na równi z nadobnemi rywalkami. Dr. Bruyère w dziele swojem o kobietach przytacza słowa młodéj i pięknéj panienki, co życzyła sobie być piękną tylko od lat 13 do 22, a potém... zostać mężczyzną Dla przypodobania się światu i ludziom, kobieta ucieka się do wielu sposobów, które często nawet na jéj zdrowie szkodliwy wpływ wywierają; a jeżeli nieszczęsna sama siebie uznaje za brzydką, wtedy duch ożywiający jéj szpetną powierzchowność wzmaga się, i w wyższości swojéj inteligencyi znajduje tryumf nad znikoméj powierzchowności powłoką.

To pragnienie urody, ta chęć podobania się, będąc nierozłącznym warunkiem bytu kobiety, przeobrażają się w namiętności, które zaledwie u schyłku opuszczają zwiędniały kwiat życia niewieściego, mimo że rozum odpycha lub wyśmiewa wszystkie w tym celu popełniane dziwactwa. Objaśnijmy to niektóremi przykładami.

Otyłość jest najczęściéj wypływem przyrodzonym konstytucyi człowieka, czy jego budowy. Płeć piękna zawzięcie nienawidzi tego stanu, i wszystkiemi możliwemi sposobami stara się go przemienić bo zasłania lub zbyt uwydatnia przyrodzone wdzięki, bez których w świecie rzadko kiedy i gdzie można się podobać. Ten wstręt naturalny, a najczęściéj wyrozumowany, kobiet do tuszy, spowodował wynalazek gorsetów. Niejedna dama w największych cierpieniach spędza dnie i noce w mocno ściągniętéj sznurówce, często w dodatku i o głodzie bo na jutrzejszym balu lub zabawie, rozstrzygnąć ma opinia publiczna, która z obecnych najcieńsze miała wcięcie! W dziełach dr. Ambrożego Paré, vol. 14 rozdział 10. ciekawe i nauczające znajdujemy tego przykłady. Jedna młoda, świeżo zamężna osoba tak silnie ściągała się sznurówką, że razu pewnego, słuchając mszy św. w kościele św. Mikołaja w Paryżu, umarła nagłą śmiercią Inna znowu zwolenniczka sznurówki, po długich cierpieniach, pochodzących z niemożności trawienia i przyjmowania wszelkich pokarmów, przedwcześnie zakończyła życie. Przy otwarciu ciała dr. Paré przekonał się, że przyczyną choroby a następnie śmierci, była sznurówka.

Innym środkiem pochłaniającym tuszę jest ocet. Pełnemi szklankami nie jedna połyka ten płyn, w celu schudnięcia. Zgubny to równie środek jak i pierwszy. Ileż ofiar naliczyć może każda rodzina wyrwanych społeczeństwu, ile łez wylanych! Ile próźb bezskutecznych ze strony lekarzy, dobrych matek i ojców, żeby odwieść nieszczęśliwą ofiarę próżności od powolnego samobójstwa!

Nakoniec trzeci środek, mniéj może szkodliwy od dwóch poprzednich, polega na przechadzkach pieszych, doprowadzonych do zupełnego zmęczenia. Kobieta z natury swojéj nie lubiąca trudu, dla pozbycia się niepokojącéj ją tuszy, opuszcza dom, dzieci, rodzinę, trawiąc całe dnie, wieczory i część nocy nawet na płonnych przechadzkach. Zmęczenie odbiera apetyt, a z utratą tego wywiązać się może choroba, ciągnąca przedwcześnie ofiarę namiętności do grobu.

Żądza przypodobania się natchnęła jeszcze płeć piękną niejednym środkiem dążącym do ukrycia rzeczywistości. Jestli blada, daléj do różu, śniada, do blanszu, opalona, do kataplazmów lub pumeksu! rumiana... ach! to tak wieśniaczo być czerwoną! Jestem słaba, proszę krew mi puścić... zawiele mam krwi... niech zblednę

trochę... ten kolor tak do twarzy! Delikatność płci, jak mówią, i zachowanie skóry w stanie nieustannéj świeżości, potrzebowały środków zaradczych; więc w pierwszym razie plasterki surowéj cielęciny rozmiękczają skórę, w drugim pomada Coldcream cudowną okazuje skuteczność. Montaigne (Essais liv. 1 ch. 40) mówi o pewnéj damie, co niezadowolona ze skóry swojéj twarzy, zdarła ją sobie drapaniem. (Dok. nast.)

ROZMAITOŚCI.

†

Maksymilian Grecki.

We wtorek dnia 5go kwietnia o godzinie 5téj nieliczna znajomych i przyjaciół drużyna odprowadziła na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki Maksymiliana Greckiego. Urodzony w Poznaniu około r. 1840 zwiedzał tutajsze gimnazyum św. Maryi Magdaleny, i należał do uczniów odznaczających się pilnością i wzorowém sprawowaniem. Ojciec jego, nauczyciel i organista przy kościele farnym pojezuickim zmarł na suchoty. Skutkiem tego Maksymilian nie mógł kończyć gimnazyum, aby się poświęcić studyom naukowym, wymagającym większych nakładów. Odziedziczywszy po ojcu wielkie zamiłowanie muzyki, udał się do Lipska i w słynącém tam konserwatoryum muzycznem pod dyrekcyą Brendla i Moschelesa kształcił się w teoryi kompozycyi i grze fortepianowéj. Zwiedziwszy późniéj jeszcze Warszawę i popracowawszy w istniejącéj tam szkole muzycznéj, zostającéj dotychczas pod sterem Kątskiego, powrócił do Poznania i oddał się gorliwie pracy, obrawszy sobie ciernisty i pełen kolców zawód nauczycielski — ale powrócił niestety z zarodem nieuleczonych suchot, może odziedziczonych po ojcu. Choroba ta, rozwinięta usilną pracą kilkoletnią i mozolnemi studyami za granicą, wybuchła z całą siłą i gwałtownością, udaremniającą wszelkie starania i zabiegi sztuki lekarskiéj.

Zapadając od kilku lat ustawicznie na piersi, nie mógł lekcyi udzielać więcéj nad trzy do czterech dziennie. Mimo to pracował piórem tém usilniéj. Kilkanaście kompozycyi jego, wyszłych po większéj części w Lipsku u Rhodego, po większéj części śpiewy, walce, miscellanea, a niektóre nawet na orkiestrę jak np. poświęcona hr. Wład. Tarnowskiemu pieśń do zachodu słońca, chlubne zdają świadectwo o gruntownych i wszechstronnych studyach zmarłego w dziedzinie kompozycyi i teoryi muzycznéj. Nie dość na tém — i na polu literatury muzycznéj próbował sił swoich. Artykuł Sobótki „o Stanisławie Moniuszce“ w ostatnich numerach tego pisma, jest jego pióra. Chopina cenił i czcił nad wszystkich kompozytorów nowszych czasów.

Cichy, skromny, potulny, dobry syn i brat, znosił cierpienia i dolegliwości z rezygnacyą i poddaniem się woli Najwyższego. Od kilku tygodni z łoża nie wstawał. Lubo wszystkie symptomy, jak np. zupełne opadnięcie z sił, wyschnięcie i wychudnięcie ciała, a w końcu puchlina zapowiadały śmierć bliską, w złudzeniu właściwém strasznéj chorobie, na którą skończył, cieszył się nadzieją, że przyjdzie do zdrowia i z całym zapałem znów się pracy odda. Zostawia on w sercach tych, którzy go znali, żal powszechny i gdyby mu Bóg sił i zdrowia był użyczył, niechybnie byłby się stał jedną z niepoślednich ozdób sztuki narodowéj.

Poznań, dnia 20go kwietnia 1870.

M. A. S.

Kronika nowości piśmienniczych.

Z Teki Literackiéj, Władysława Zawadzkiego. Poznań. Nakł. księg. J. K. Żupańskiego. 1870. 8o. w. str. 340. 1 tal. 10 śgr.

Patrycyusz. Powieść Dramatyczna. Poznań. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego. 1870. 8o. m. str. 218. 1 tal.

Władysław Ordon. Poezye. Kraków. W drukarni Uniw. Jagiellońskiego. 8o. m. str. 173. 1 tal.

Minęła Wielkanoc i uciechy jéj, kończące się, gdzie delikatniejsza cywilizacya nie odmieniła domorosłych obyczajów, zdradliwym Śmigusem czyli Dyngusem (dęga). Wiele się uczeni naspierzczali o znaczenie obyczaju tego, ale psotnicy nasi i powabne trzpiotki, nie pytając o początek i tłumaczenie, zachowują go stale w formach mniéj lub więcéj tradycyonalnych; łaska to już wielka, jeśli stągwie i potężne rózgi, zamienią na flakonik kolońskiéj i gałązkę świeżéj zieleni. Szkoda, że z niemi o tym przedmiocie nie mógłem pomówić przed Świętami; podchlebiam sobie, że byłbym, w tym wieku reform, bez urażenia przeszłości wyjednał zbawienną odmianę, na którą naprowadza rozczytywanie ksiąg powyższych. Otóż podczas gdy u nas poważniejsze, z szykiem lub zblazowane umysły, daremnie się silą, ażeby wyrugować z życia obyczaj, wedle nich, gruby, plemię o wiele grubsze i ciemniejsze od najgrubszego Poznańczyka, wynalazło i praktykuje w téj mierze u siebie sposób, który nie czyniąc ujmy tradycyi, skierował obyczaj z drogi bezmyślnéj swywoli, na tór rozumnéj utylitarności. Zamiast coby miał oblewać brat siostrę, młodzian dziewczę itd. odwrotnie, bez powodu, bez korzyści, owszem na psotę i niesmak, wybierają tam sobie jednego tylko kozła ofiarnego, który cierpieć musi za wszystkich; za siebie zaś szczególnie za to, że przez rok cały był największym brudasem. Tam więc obyczaj połączony jest z ideą krzewienia ochędóztwa. Ale jakże u plemienia tego wyrobioną być musi opinia publiczna, że zgodnie na dyngus wskazanemu i wspólnemi siłami całéj wsi skórę zmyć potrafią. Gdzież kraj ten i ludzie — szczęśliwi?!

Het daleko w kończynach Karpat, ku Bukowinie i siedmiogrodzkim szczytom, wznoszą się góry i siedziby Huculów. Ich to życie i obyczaje właśnie opisuje p. Zawadzki w jednéj z rozpraw Teki swéj. Proszę odczytać: opis tak piękny i malowniczy jak to plemię polsko-ruskie, żyjące w idylicznéj prostocie mlekiem, bryndzą i baraniną, w świeżości górskiéj aury, w woni górskiego ziela.

Skrzywdziłbym szanownego autora, gdybym tym jedynie rysem zalecić chciał zbiór jego rozpraw, w których zebrany jest bardzo cenny materyał. Zaraz oto na wstępie jest rozprawa o Dziennikarstwie polskiém (do r. 1863), z któréj się dowiedzieć można nie tylko szczegółów o wzroście téj najnowszéj części piśmiennictwa naszego, o rozwoju i przemianach gazet wielu, — ale między innemi mimowolnie zastanawia się tam umysł czytającego nad ustępem, który podaję ad usum tych, co mienią, że dzienniki powinny być tylko lub główinie odzwierciedleniem opinii i stanu społeczeństwa. Jeśli więc opinia jest żadna a społeczeństwo liche, wnioskując tak, należałoby koniecznie mieć odpowiednie dziennikarstwo. Ot żeby tak nie było, a dziennikarstwo starało się być lepszém jak owa tu opinia publiczna, mozaikowa, na to snać napisał p. Zawadzki słowa następujące: „Zadaniem dziennikarstwa jest być konduktorem rozprowadzającym w wszystkie dalsze warstwy publiczności promienie prawd i przekonań, wprzód już długą pracą na polu naukowych badań uzyskanych, czém staje się dziennikarstwo regulatorem opinii publicznéj i potęgą. W krajach, gdzie publicystyka na wysokim stopniu stanęła, widzimy też i rozwój naukowy wysoko posunięty... Toż do publicystyki przystępują tam ludzie, którzy wprzód wiele lat pracy poświęcili umiejętnemu kształceniu się, mężowie stanu z wytrawném zdaniem i doświadczeniem, nabytém na widowni politycznéj.“

Tyle pracy, zdolności, powagi na fabrykacyą — makulatury?! rzekł zły duch we mnie, przeczytawszy te słowa. Ale dobry tuż odpowiedział: Dzienniki są jako owo ziarno, które się rzuca w czarną ziemię na zatratę i zepsowanie; ale jako ze ziarn młode wyrastają rośliny, tak i z owych podkładek do placków, owych fidybusów, zawitek itp., niepostrzeżenie rośnie — kryptogam oświaty.

Jeszcze słówko, a gotówbym popaść na retoryczne bezdroża, o co nie trudna u nas Polaków. A wszakże od wieków przodkowie nasi po nich chodzili i błądzili w publiczném i prywatném życiu. Przeczytać rozprawę p. Zawadzkiego o Wymowie w kółku staropolskiém. Dziś się zżymają, gdy ktos dziesięć mówek ex abrupto na jedném posiedzeniu palnie, lub nieuniknony jakiś orator o głos prosi... ależ to raj dziś, raj w porównaniu co było dawniéj. W prywatném kółku domowém ledwie się dziś już Lulcia lub Emilka zdobędzie na wyrecytowanie deklamacyi na imieniny taty lub mamy; dawniéj, mosanie, gadać musiał stary i młodszy przy lada uroczystszéj sposobności, a jak dziś są podręczniki z powinszowaniami na Nowy Rok, imieniny itd., tak przodkowie nasi skupywali lub spisywali w domowéj Silva rerum mowy okolicznościowe. Dziś gdy chrzcą chłopca, najczęściéj on sam dostawszy soli i wody święconéj, mówkę sobie powie, aż uszy bolą chrzestnych, — dawniéj przed i po akcie, z respektem, uroczyste oracye miewali chrzestni, inaczéj na syna, inaczéj na córkę, a stósownie znów rodzice odpowiadali z podziękowaniem; nie licząc już następnych przemów serdeczniejszych przy biesiadzie i roztruhanach, które i dziś niekiedy rozwiążą więzy spętanéj swady. Autentyczne wzory mów takich podaje p. Zawadzki w swéj Tece. Jednakże polecam je tylko jako dokumenta historyczne, nie jako wzory naśladowania. I autor nasz nie miał tego na myśli.

Jeśli chodzi o naśladowanie wzorów, podał je nam p. Zawadzki poddostatkiem w życiorysach Teki swéj. Znajdujemy tam mniéj lub więcéj dokładne biografie Korzeniowskiego, Szajnochy, Supińskiego, Grotgera, gen. Dwernickiego i innych. Gdyby to

pismo wasze było przynajmniéj całą gębą Sobotą, a nie maluczką Sobótką, pokusiłbym się jeszcze tym lub owym pikantniejszym rysem zaciekawić czytelnika i dla téj części prac naszego autora. Przestaję jednak na krótkiéj wzmiance o wzorach, zwłaszcza ze względu na to, że nie tyle ich dziś ludzie szukają co wrażeń. A czytelnicy nie lepsi od reszty ludzi. Przejdźmy tedy do księgi wrażeń.

Kto przeczyta jednym tchem Patrycyusza, a powie że nie doznał wrażeń z piękna i grozy obrazów, w jakie mu się przekształcają niewinne litery, w tym chyba zamarło uczucie. Obrazy te zdjęte są z okropnéj niestety, doprawdy nie śmiem powiedzieć czy pięknéj prawdy, bo ona więcéj boli, jak którakolwiek inna dojmująca choćby do wnętrza duszy. Tłem osnowy Patrycyusza są dzieje powstania z r. 1863. Ich pobudki, poświęcenia i zbrodnie, bohaterskie czyny i zdrady, cierpienia i cynizmy, marzenia i zawody, przedstawiane w rażących przeciwstawieniach, — to ukraińską barwą z krajobrazu Czajkowskiego, to biblijnym stylem Anhellego, znów zaprawione dramatyczną goryczą Nieboskiéj komedyi, porywają zajęciem, nęcą ciekawością, ale przyciskają okropnością. Gdyby ktoś u nas napisał traktat O kresach piękna w poezyi, możeby zabronił lubować się w widoku rozsiekanych członków, wisielców z wyłupionymi oczyma itp., pomijając już opis konia marzącego o gonitwach za towarzyszkami stada.

Ale któż dziś z poetów naszych młodszych słuchałby takiego nauczyciela. Hulać wyobraźnią i piórem, to ich hasło. Estetyka, nauka o formach tworzenia poetycznego, to pęta niepotrzebne, które niechętnie nakładają Pegazom. Dla tego co głowa to nowe formy, a raczéj żadne. Byron, Krasiński, Słowacki wszak podobnież hulali?! powiedzą na swą obronę. Trzéj to zaiste wielcy poeci, nieprześcignieni, ale dzieła ich nie są wzorami, na którychby się kształcić mogły i do naśladownictwa uprawniać niższe lub młode duchy. Byron, Krasiński i Słowacki, już dziś, dla naszéj epoki, znanéj nam z współczesności albo przynajmniéj z najbliższéj tradycyi tła ich pism, są nawet dla oświeconych czytelników niezrozumiałymi bez komentarzy, podczas gdy Homera, Aischyla, Terencyusza, Wirgila, Szekspira, Mickiewicza, mistrzów z ducha i formy, czyta i rozumie słowo w słowo każdy prymaner.

Na pochwałę autora powiedzieć można, że uniknął mistycznych lub zbyt fantastycznie wyrażających się pojęć, owszem rzecz jego dosyć jasna i zrozumiała, przedstawia zapasy czystéj idei patryotycznéj z zewnętrznym wrogiem a wewnętrzną demoralizacyą narodu. Ale przy ślicznéj dykcyi, jaskrawém obrazowaniu, wielkiéj zręczności grupowania, zbyt się autor przerzuca z jednéj formy pisania do drugiéj, ażeby serdecznemu dziełu jego wszechstronne przyznać zadowolenie krytyki. Lecz co z serca pisał, do serc trafia, choć je krwawi i ściska. Autor dopiął zamiaru.

Nie wiem czy przypisać wrażeniom z Patrycyusza odniesionym, że Poezye Ordona jakoś blado się przedstawiają. Może i to, że nazwa „Ordon" mimowolnie przypomina redutę i owo:

Nam strzelać nie kazano, wstąpiłem na działo
I spojrzałem na pole: trzysta armat grzmiało...

a tu pierwszy rozdział nosi miękkie miano: z Miłości.

Ale nie z téj, łaskawe czytelniczki, o któréj wy na razie myślicie, a raczéj którą rozraniacie i koicie rany serc czułych, którą nęcić i zabijać umiecie jak ów „Sfinks" okropny, który, jak wam powiedzieć zapomniałem, w dodatku do Patrycyusza umieszczony jest. Biedny poeta! całe życie marzył o tym Sfinksie, a ledwo nareszcie po tryumfach pieśni dostał się w ponętne objęcia jego, aliści poszarpan jest w kawały; a na grobie jego „pielgrzymi i rozkochane dusze niosą składać wonne z czterech stron świata ofiary." To się działo na wschodzie; jakże inaczéj północny Mickiewicz pojmuje miłość, kiedy powiada: że ona zdolna człowieka popchnąć do wielkości:

Czasem tę iskrę oko niebianki zapali,
Wtenczas trawi się w sobie, świeci sama sobie
Jako lampa w rzymskim grobie.

Dosyć że p. Ordon śpiewa o innéj Miłości, rzadszéj wprawdzie, ale większéj, wznioślejszéj:

Miłości! — otwórz pierś męzką dla ludów
Jak wrota wielkie, — niechaj do niéj wchodzą,
A jeśli zmarły — niech w niéj się odrodzą,
A jeśli padły — niech wstaną do cudów.

Z całego tomika tchnie powaga a skromność.

Szarada.

Całe na cztery części się rozkłada;
Jeźli chcesz zgadnąć taka moja rada:
Pierwszą wraz z drugą możesz znaleść święcie
Wśród imion sławnych w starym testamencie.
Z pierwszą się trzecia w ciepłych krajach pleni —
I nawet smakosz potrawę z nich ceni;
Zaś pierwszę z czwartą — zlane w jedném słowie —
Mieliśmy w Polsce z koroną na głowie.
Daléj — gdy druga z czwartą się dogoni,
Znajdziesz ją wszędzie u ludzi i koni,
A dwie ostatnie, gdy bez główki złożę,
Żyje to, lata i zranić cię może.
Wszystko nareszcie nazwiskiem jest miasta
Lecz w którym kraju — nie powiem i basta.

(Rozwiązanie szarady w numerze 16: **Tytul.**)

Korespondencya Redakcyi.

Autorowi listu z Poznania do Tygodnia. W ostatnim numerze Tygodnia czytamy co następuje: „Na list z Poznania, zwracający uwagę Redakcyi na sprawozdanie z teatru w Sobótce, w którém oświadczono się przeciwko patryotycznym frazesom, odpowiemy, przywodząc z niego ustępy niektóre..... Publiczność tutejsza aż nadto, bo nawet boleśnie chłodno owe patryotyczne frazesy przyjmuje, jak gdyby już nic w niéj zadrgnąć nie mogło. Widziałem jednę zacną panią, która w Niepoprawnych Słowackiego, gdy wyrazy: Nieszczęśliwy kto nie ma ojczyzny, przebrzmiały bez echa — zapłakała nie nad ojczyzną, ale nad tymi co pozbawieni jéj — braku matki nie czują..... Po cóż Sobótka tak się lęka patryotycznych frazesów, które nic nie wywołują i żadnego nie wywierają przymusu. — Wszakże główném zadaniem teatru w Poznaniu winno być podtrzymywanie i obudzanie uczucia narodowego tam, gdzie ono stygnąć zaczyna.... Krzewienie języka.... Przypomnienie przeszłości..... Idzie pewnie więcéj o piętro drugie, o galeryą, niż o pierwsze i parter.....

„List ten i fakt zapisujemy do księgi pamiątek."

Gdyby nie powaga Dziennika, w którém zarzut ten Sobótce uczyniono, nie uważalibyśmy za stosowne nań odpowiedzieć; kto bowiem czytał inkryminowane sprawozdanie z teatru, z dobrą wiarą zarzutu podobnego uczynićby nie mógł. — Sprawozdanie z teatru w Sobótce oświadczyło się przeciw sztuce mającéj na celu li — tylko wypowiedzenie kilkudziesięciu frazesów patryotycznych, kosztem koniecznych zalet komedyi lub dramatu. — Myli się autor listu, jeżeli twierdzi, że patryotyczny frazes bez innych zalet nieodłącznych od sztuki dramatycznéj wartość mieć może — jeżeli ją ma, to chyba tylko względną. — Błędném jest także twierdzenie, że sprawozdanie z teatru wyrażając myśl podobną, na względzie miało publiczność z piętra drugiego i galeryi. — Gdyby korespondent w niesłusznym nawet zarzucie chciał być konsekwentnym, musiałby raczéj powiedzieć odwrotnie. — Co do nas, chodzi nam o cały teatr bez wyjątków i podziału na piętra, chodzi o kształcenie smaku i głębsze pojęcie sztuki, opartéj nie na frazesowych zaletach. —

Sobótka, w stósunku do swego obszaru więcéj i gorliwiéj niż inne dzienniki, sprawą teatru dotąd zajmowała się i nie raz jeden wyraziła chęć widzenia jak najczęściéj na scenie utworów narodowych, naszych pisarzy. Zkąd więc posądzenie korespondenta, że Sobótka lęka się patryotycznych frazesów, nie umiemy sobie wytłumaczyć. Tego rodzaju zarzuty uczynione Sobótce były najmniéj przez nas spodziewane. — W całéj téj sprawie niepatryotyzm Sobótki podobny jest do wiatraka, o którego zdobycie szturmował korespondent na wzór sławnego rycerza wieków średnich. —

Panu K. w Miłosławiu: Może nieco późniéj zamieścimy. — Panu Adamowi Kuliczkowskiemu we Lwowie: Pomimo najszczerszéj chęci odezwy Komisyi ortograficznéj zamieścić nie możemy. Szczupłość ram Sobótki niech nas w oczach Komisyi usprawiedliwi. — Panu W. W. w Dreznie: Chętnie zamieścilibyśmy, gdyby opis był nam znany. — Panu Na.... w Krakowie: Artykułu obiecanego oczekujemy.